

Przedruk ze strony: <http://www.eioba.pl/a/3zxf/drugie-zycie-przeprowadzka>

[Drukuj pracę](#)

Drugie życie (Przeprowadzka)

Z cyklu “Drugie życie, czyli emigracyjna dziesięćlatka”

Zaczął się od tego, że mając dość mieszkania pod starym adresem, wprowadziliśmy się pod nowy. Nowy, ładny, ale przede wszystkim nie dzielony z nikim – nie licząc ówczesnej Narzeczonej, której już też bokiem wychodziło dzielenie mieszkania z przypadkowymi ludźmi.

‘*Wreszcie na własnym!*’ – odetchnęliśmy z ulgą, gdy padliśmy obok ostatniego rzutu dopiero co wniesionych kartonów, kryjących bogactwa nazbierane w ciągu kilkuletniego tułania się po kilkunastu poprzednich adresach.

Ciasne, nie własne

Tęga Josie z pośredniaka wręczała klucze do nowego mieszkania z takim namaszczeniem, jakbyśmy wprowadzali się do Belwederu, ale fakt faktem - 'flat był cool'.

To znaczy tak mówiła Monika, że był cool, a to, że tak mówiła było nie lada osiągnięciem, jako że wcześniej oglądane lolale były odrzucane z powodów, na których opisanie – idąc za słowami wieszczki Norwida – ‘ludzkość nie znajdzie sposobu’.

Ten jednak wyjątkowo trafił w gusta mej pani.

Jeśli chodzi o mnie, nie bardzo odpowiadała mi ta lokalizacja, ale czego wymagać od kobiety, której sprytna agentka jęła w pierwszym rzędzie zachwalać nie lokalizację, a jacuzzi, zaś w drugim rzędzie energo-oszczędne kinkiety w sypialni.

I cóż z tego, że jacuzzi było w użyciu tylko przez pierwsze dwa tygodnie, by zostać potem zakwalifikowane jako ‘pożeracz prądu’?

I cóż z tego, że już przy najdrobniejszym trąceniu cudownych kinkietów, sypał się zza nich tynk tonami, a przez ich “inteligentne rozmieszczenie”, druga szafa musiała stać pod oknem?

Tymczasem, Josie właśnie kończyła zachwalanie lodówko-zamrażarki, szczególnie skupiając się na obecności w teźże specjalnej kratki na butelki wina. ‘But I only drink red’ - już miałem udać, trochę wobec tęgiej Josie, trochę wobec Moniki, ale te były już w swoim żywiole. Że jacuzzi? Wonderful! Że Kinkiety? Fantastic! Och, ach!

A zaraz po skończonych oględzinach, oczy Narzeczonej zabłyśły nie mniej niż pierścionek na jej palcu – ‘To co robimy, Pysiaczku?’

No to Pysiaczek się zgodził, bo co miał zrobić...?

Budzik – zdrajca

Jednak już tego samego dnia, prawda zaczęła wychodzić na jaw. Ktoś napisał nam chyba zły scenariusz.

No bo tak:

W tym tygodniu miałem na rano.

Wstało się więc bardzo wcześnie i, potykając się o na wpół rozpakowane kartony, poszło się do łazienki. To znaczy bardziej się do niej pędem poleciało, jako że wysłużony budzik musiał wyczuć awersję swego

właściciela do nowej lokalizacji i tego ranka - będąc niejako lojalnym kompanem - twardo odmówił posłuszeństwa.

Narzeczona nigdy nie lubiła jego głośnego tykania, więc od tamtego dnia regularnie truła mi wiadomo co, bym się pozbył, cytuję, ‘głupiego, solidarnego, a na dodatek strajkującego, «Stoczniowca»’.

Taak...

Niby piła do jego topornego wyglądu, ale ja dobrze znałem drugie dno tych epitetów. Oczywiście, że piła do faktu, iż pracowałem wtedy na dzielnicy Docklands [ang.: doki - dzielnica kiedyś stoczniowa, teraz biurowa]. Lecz szło o to, że pracowałem nie w biurówcu, a w fabryce elementów na statki. Nieraz były poruszane, cytuję, ‘niezbyt górnolotne ambicje zawodowe jej przyszłego męża’, a te nie w pełni były zgodne z wizją jego przyszłej żony.

Wtedy jednak był to etap, w którym jacuzzi było jeszcze w użyciu, kratka na wino również, a nocna suknia Moniki nabierała w ciepłym świetle kinkietów słodkiej przezroczyści.

Ale tamten etap to już historia.

Scenariusz dostał kosza.

“H” jak “Hłodna”

Tak więc wpadam tego pierwszego ranka do łazienki, odkręcam kurek gorącej, a tu ...zimna!

Tutaj wspomnie należy, iż już przy wieczornej toalecie w dzień przeprowadzki miałem problem z wydedukowaniem który kurek jest który, bo tylko w zacofanych krajach, producenci wyposażenia łazienek stosują głupie oznaczenia kurków kolorami, wykazując się w ten sposób nieprzyjaznym stosunkiem do daltonistów. A tu proszę: nie tylko myślą o daltonistach, lecz dbają nawet o zupełnie niewidomych!

I tak szczerze: naprawdę spodziewałem się wymacania kropek kodu Braille’a czy czegoś w tym rodzaju.

I choć w końcu udało się ustalić który kurek był który, to z kurka oznaczonego ledwo widocznym “H” – spodziewana “Hot” nie leciała bardzo długo.

Takie sytuacje zawsze prowokują człowieka do krótkiego zamysłu oraz refleksji nad stopniem swojej znajomości języka:

– *‘Hej! A może “C” to “Ciepła”...?’*

Na potwierdzenie tej wersji, spod “H” nadal leciała Hłodna.

Tak czy inaczej, wiedza zdobyta poprzedniego wieczoru, w wymęczonym umyśle przechować się przez noc nie zdołała.

Dlatego następnego ranka, w naszej nowej łazience pojawił się Indiana Jones – poszukiwacz Zaginionych Liter, bez latarki czy lupy, z nosem w gładkiej jak pupa niemowlaka politurowanej baterii.

Lecz jak to bywa w zwyczaju Indiany, do głowy zawsze wpada mu cud-plan.

Nie inaczej było i tym razem:

Oto głowa Indiany uznała, iż jego zażywe dłonie odkręcą oba kurki na full, nogi w tym czasie poniosą go do kuchni, gdzie jego oczy przejrzą lodówkę.

To ci planisko! Przecież czas to pieniądz.

No i rzeczywiście – Indiana zaoszczędził...

Rybka lubi fruwać

Ostatecznie, padło na chińskie danie z niemieckiego Lidla, produkowane w Jankach pod Warszawą.

Co prawda, początkowo padło na puszkę rybną, ale silna wyobraźnia podniebienia Indiany skusiła jego słabą wolę smakowitą grafiką całej ławicy szprotek nurzających się w morzu oleju. Królem Głodomorem Wielkim Indiana był od zawsze, nie miał więc innego wyjścia, jak zacząć tłumaczyć samemu sobie, że ‘przecież wciągnę ją na dwa łyki w trakcie ubierania’. Budzik to zdrajca, a czas to pieniądz.

Plan więc został puszczonej w ruch, a Indiana puszczonej na poszukiwanie widelca. I to właśnie przez niego Indiana znów był do wzięcia...

Już od wczorajszego późno-wieczornego przeglądu lodówki, Indiana wiedział, że na wierzchu są tylko noże; widelce muszą nadal tkwić w jednym z dwóch kartonów oznaczonych równym pismem Moniki “KUCHNIA”.

Zatem z puszką w ręku, nadal oczywiście pamiętając o odkręconych kurkach w łazience, Indiana schylił się nad okazałych rozmiarów kartonową wieżą, okupującą róg kuchni. Ku jego zdziwieniu, była tam tylko jedna “KUCHNIA”; druga musiała wylądować gdzieś w górującej nad pokojem dziennym stercie głównej. Ponadto, ta pierwsza “KUCHNIA” stała na samym spodzie kuchennej sterty, a nad nią pastwiły się wielkie “GARNKI”, ciężkie jak cholera “KSIAŻKI” oraz na wpół otwarte “PYSIEK-LUMPY”. Indiana może był mistrzem w pływaniu wpław przez pół Pacyfiku, ale do przeprowadzek to on nie miał raczej smykałki, to fakt.

Wobec takiego obrotu sprawy, Indiana uznał, że poradzi sobie z rybą nożem. Poza tym, widok pieśzotliwego napisu “PYSIEK-LUMPY” przypomniał mu o konieczności wypakowania ochronnego kombinezonu, a to z kolei o dokopaniu się do torby z roboty, zakopanej gdzieś pod stertą w korytarzu. Ale cóż to za pestka dla Indiany.

Przerzuciwszy kombinezon przez ramię oraz przetykając pierwszą połowę przepysznej ławicy, Indiana już miał pędzić do łazienki sprawdzić czy zimna już zleciała, a więc czy Indiana weszcie mógł przystąpić do porannej toalety. Bo musicie wiedzieć, że Indiana-twardziel i Indiana-Spartanin to jedynie propaganda.

I wtedy, sokoło oko Indiany padło na te nieszczęsne “KSIAŻKI”.

Co one robią na “GARNKACH”

To trzeba Wam wiezieć, iż co jak co, ale uszy Indiany były słusznych rozmiarów.

Dlatego łatwo przyszło Indianie usłyszeć uszami wyobraźni Monikę narzekającą na ból kręgosłupa, który ‘powracał w najgorszych momentach, jakby się na nią uwziął’, oraz - cytat z wyobraźni Indiany - ‘Pysiek, a czemu karton z ciężkimi jak cholera książkami wylądował akurat na kartonie, który mnie najbardziej interesuje? No to ładnie! Ja się tylko zastanawiam czy ktoś tu chce mi pomóc pozbyć się tego bólu, czy raczej temu komuś niespecjalnie na tym zależy, a przecież ten ktoś wie doskonale, że specjalnie wzięłam te dwa dni, by przynajmniej zrobić tę kuchnię. No, to ja już wszystko rozumiem!’.

Tak więc nasz Indiana, ze wzrokiem utkwionym w kartonie-uciekinierze, a także wzięty w krzyżowy ogień czulej troski o plecy Narzeczonej oraz strachu przez jej językiem, odstawia rybną puszkę na krawędź zlewu i po kolei zabiera się za bary z Pysiwymi Lumpami, potem z Garnkami, potem Indiana czuje jak kombinezon zsuwa się mu z ramienia, więc Indiana porusza energicznie ramionami - alà Jackson, mocno do góry - w efekcie czego nadal trzymane, ciężkie jak jasna cholera Książki kołyszają nim na boki, kombinezon co prawda wskakuje z powrotem na ramię, ale jego rękaw odwija się i niebezpiecznie zmierza w kierunku puszek, więc Indiana robi drugi unik, przydeptuje sobie nogawkę, traci równowagę, a potem już tylko opada na puszkę.

Dziang!

To szprotki, niczym wahadłowiec “Discovery”, za sprawą noża-wyrzutni wystrzelone w Orbitę Okołokuchenną, z pierwszą prędkością kosmiczną uderzają w półko-suszarkę, z której pierwszy spada wazon. Za nim w pogoń puszcza się dwa kubki, oba zgodnie lądując na stojących rzędem na kuch-

nym blacie talerzach i szklankach. W chwilę potem następuje wodowanie szprotek–kosmonautek w wypełnionym naczyniami zlewie.

Mimo to, Indiana nadal niepoprawnie żyje wersją, że scenariusz nie przewidywał zbudzenia cierpiącej ostatnio na bezsenność Narzeczonej.

Ale to nie był koniec. Wszakże karton - choć teraz oparty a kant blatu - nadal nie był wypuszczony z objęć.

Z tak ograniczonym polem manewru, Indiana może tylko obserwować jak na poruszonej półce, pozostałe kubki wahają się czy nie dołączyć się do pobojuwiska w zlewie, użyczając przez to całemu przedsięwzięciu dodatkowych decybeli. Chcąc zatem ratować chociaż je, Indiana mocniej przytrzymuje karton ciałem do blatu. Uff, jedna ręka wolna!

Jednak scenariusz tym razem był napisany naprawdę kiepsko.

Już więc uratowałyby choć tę resztę dumy zeszlotygodniowych zakupów Moniki, gdyby do akcji nie włączyły się nogawki. Czy scenariusz przewidział, że będą plątały się Indianie pod nogami?

Jednak Indiana założy się, że nikt nie zgadnie reakcji Moniki.

Nawet sam scenarzysta.

Na full

Tutaj należy wyjaśnić, że Ex Indiany była zawsze bardzo gospodarna.

Oraz oszczędna.

Tak więc w chwilę po locie szprotek w kosmos, dziewczyna też wylatuje, tyle że z sypialni, na bosaka, no i w tej swojej przecudnej sukni. Chwilę rozgląda się po kuchni, potem spogląda na swego speszonego Indianę, głupi wyraz twarzy, Indiana widzi, że bliski śmiechu, lecz wtem chwila ciszy – Indiana widzi jak jego bogioni nasłuchuje dźwięków z łazienki – trwa to ułamek sekundy, momentalnie jej twarz tężeje, oczy błyskają w trwodze: jak szalona okręca się na pięcie i już jest w łazience.

Po paru sekundach wraca do Indiany – znokautowanego przez karton, po łokcie upačkanego w oleju i resztkach ławicy obrazu nędzy i rozpaczy – po czym złowrogim tonem wydaje swój oficjalny komentarz, Indiana cytuje:

– ‘Zostawiłeś kran na full!!!’

Musztra

Po powrocie z pracy, pierwsze, co tego dnia Indiana dostał od Narzeczonej, to nie buziak czy jakieś czułe słówko – o nie. Niepewny jej humoru, już w progu pośpiesznie zrzucając z siebie kombinezon–winowajcę, Indiana dostał dokładne wyliczenie:

– ‘Zlatuje aż 22 sekundy!’

– ‘*Że co proszę??*’ – skonsternowany Indiana rzucił ostrożne zapytanie.

– ‘*No, aż 22 sekundy zajmuje zimnej w łazience, by zlecieć. Skandal, no nie!?’*

Epilog

Czy wspomniałem, że Monika była również bardzo pomysłowa?

Nie?

Otóż od następnego dnia zaszła jedna zmiana w naszym życiu: oto przestaliśmy jeść sałatkę warzywną. Lecz bynajmniej nie dlatego, iż przestała nam smakować. Przestaliśmy ją jeść, ponieważ plastikowy pojemnik, używany dotąd na jej sporządzanie, najlepiej pasował kształtem oraz objętością do łazienkowego zlewu.

W żaden sposób nie udało mi się wykręcić od rozkazu, by toaletowych nieczystości nie spuszczać odtąd spłuczką, a zalewać zlatującą zimną, zbieraną w sałatkowy pojemnik, wodą.

Ktoś może nazwać Indianę łosiem, ktoś inny pantoflarzem – choć niby Indiana to rozumie, a nawet byłby skłonny się z tą opinią zgodzić, to jednak nie dziwcie się proszę, że Indiana nie sprzeciwił się. Chyba i tak powinien był być zadowolony – przecież zawsze mogła na parę dni odciąć seks, zmywanie albo kanapki do pracy.

Który Indiana miałby podobnie – ręka do góry.

Mam też nadzieję, że nie zdziwi się nikt, gdy wyznam, że – już po wyprowadzce Moniki kilka miesięcy później – we wspomnianym pojemniku, nie pozwalałem Kamili robić ani sałatki, ani w ogóle żadnego jedzenia.

Na szczęście Indiany, Kamila była wyrozumiała.

Poza tym, okazała się być całkiem rozrzutna.

No a przede wszystkim holernie gorąca...



Autor: Jacek Wąsowicz

Linkowanie do strony wydruku (tej strony) jest zabronione